

Jan Rokita: Sprawdzian amerykańskich gwarancji [FELIETON]

Od chwili klęski hitlerowskich Niemiec ukształtowało się przekonanie, że te państwa europejskie, które Waszyngton uznał za niepodległe i otoczone jakąś formą amerykańskiej protekcji, mają de facto zagwarantowane bezpieczeństwo. Dlatego państwa, które z różnych przyczyn do NATO nie chciały się zapisywać, wcale nie miały powodu, aby odczuwać zagrożenie dla swej niepodległości. Jeśli były demokracjami, to i tak przecież należały do rodziny „wolnego świata” – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Słuchając czołowych zachodnich polityków (w to liczę także polskich) oraz czytając liczne analizy, mam rosnące z dnia na dzień wrażenie, iż wyraźnie niedoceniane są polityczne skutki upadku niepodległej Ukrainy. Przy czym nie mam na myśli tym razem druzgocących moralnie konsekwencji – może nie tyle pogodzenia się, bo ono zapewne nie nastąpi – ale choćby prostego przyjęcia przez Europę do wiadomości, że wolność Ukrainy została stłumiona przemocą, a nad tym wielkim krajem rozsnuwa się na powrót, jak w nie tak dawnych czasach Hołodomoru, pomroka moskiewskiego terroru. Nie chodzi mi też o tzw. kwestię humanitarną, czyli nieuchronną ucieczkę do Europy, od pięciu do dziesięciu milionów uchodźców, co dla przyszłości Ukrainy byłoby społeczną tragedią, ale dla Polski nie tylko historyczną okazją do wykazania się najlepszymi cechami polskiego społeczeństwa, ale i

fantastycznym uzupełnieniem pogłębiającej się luki demograficznej, dzięki milionowi ukraińskich dzieci w polskich żłobkach, przedszkolach i szkołach.

Rzecz w tym, że upadek Ukrainy pod moskiewskimi ciosami stałby się czynnikiem wysadzającym w powietrze kilka kanonów europejskiej polityki ustalonych po 1989 roku, a prawdę mówiąc, niektórych nawet niekwestionowanych od końca II wojny światowej. Przede wszystkim wraz z niepodległą Ukrainą upadłby polityczny prymat Ameryki na naszym kontynencie. Od chwili klęski hitlerowskich Niemiec ukształtowało się przekonanie, że te państwa europejskie, które Waszyngton uznał za niepodległe i otoczone jakąś formą amerykańskiej protekcji, mają de facto zagwarantowane bezpieczeństwo. Dlatego członkostwo w NATO było dotąd traktowane jako coś na kształt prawnego certyfikatu bezpieczeństwa, ale państwa, które z różnych przyczyn do paktu nie chciały się zapisywać, wcale nie miały powodu, aby odczuwać zagrożenie dla swej niepodległości. Jeśli były demokracjami, to i tak przecież należały do rodziny „wolnego świata”, co w sensie bezpieczeństwa oznaczało faktyczne, choć niesformalizowane gwarancje amerykańskie. To właśnie dlatego Szwecja czy Finlandia nie czuły się w Europie wcale jakoś „gorzej”, aniżeli należąca do paktu Norwegia albo Dania.

Ukraina, Gruzja, Mołdawia czy kraje Bałkanów Zachodnich próbowały kontynuować taki status po upadku ZSSR. Najpierw więc w ogóle nie zabiegały o sformalizowany sojusz, zadowolając się (jak w przypadku Ukrainy) takimi politycznymi gwarancjami jak sławetne memorandum budapesztańskie. A od jakiegoś czasu, gdy pod wpływem zmian polityki rosyjskiej za prezydentury Putina zaczęły nabierać wątpliwości co do pewności swego statusu, zaczęły pukać do NATO, lecz drzwi uchylono

tylko niektórym spośród pukających na Bałkanach. Te, którym drzwi nie uchylono, stawały się z czasem coraz bardziej nerwowe, skądinąd nie bez przyczyny. Ale w żadnym z nich nie wierzono na serio aż do 24 lutego, że w każdej chwili może stać się tak, iż ich miasta zostaną oblężone i doszczętnie zbombardowane, a na ich stolice ruszą wraże kolumny pancerne. Zupełnie tak, jakby w Europie nadal panowały stosunki polityczne sprzed wejścia Amerykanów na nasz kontynent w trakcie II wojny światowej. Wierzono bowiem, że Ameryka po to właśnie usadowiła się od tamtego czasu na dobre w Europie, żeby zagwarantować niemożliwość takiego obrotu spraw na przyszłość. Upadek Ukrainy dowiódłby, iż taka wiara była politycznie irracjonalna, a nawet zahaczała o myślenie magiczne.

Podbita Ukraina na zawsze stałaby się koronnym dowodem, że w Europie opieka amerykańska jest warta tylko o tyle, o ile nie pojawi się ryzykant, który zechce jej skuteczność wystawić na próbę za pomocą siły

Realia po upadku Ukrainy byłyby więc mocno innowacyjne. Wiadomo by już było, że takie państwa jak Mołdawia, Gruzja, Białoruś (z nią akurat nie ma już problemu, bo sama się zlikwidowała), pytanie: czy również Bośnia i Kosowo, w

gruncie rzeczy utraciły prawo do istnienia. A kwestia przed którą stoją te kraje nosi bardziej charakter techniczny niżli polityczny: kiedy mianowicie ich silniejsi sąsiedzi uznają za stosowne siłą przeprowadzić ich likwidację. Może właśnie dlatego tak nieprzyzwoitym widowiskiem wydało mi się w tych dniach polityczne mizdrzenie się w Kiszyniowie

sekretarza Blinkena z panią prezydent Sandu. Teoretycznie bezpieczni mieliby pozostać tylko natowscy „klubowicze”, ale i taka wiara – mimo przysięg składanych dziś przez Bidena – stawałaby się w gruncie rzeczy równie irracjonalna, jeśli nie całkiem magiczna. Upadek Ukrainy – powtórzmy – to przede wszystkim koniec politycznego prymatu Ameryki w Europie. Skoro więc Ameryka nie ochroniła wielkiego kraju, który nie tylko wzięła de facto pod opiekę, ściągając nań obecne nieszczęścia, a jeszcze okazał się to kraj wyjątkowo dzielny, bitny i świetnie potrafiący się bronić, to w jaki sposób miałyby na przyszłość ochronić – powiedzmy – nadbałtyckich klubowiczów: zapewne też dzielnych, ale maleńkich i z definicji niezdolnych do postawienia realnego oporu? Przecież podbita Ukraina już na zawsze stałaby się koronnym dowodem, że w Europie opieka amerykańska jest warta tylko o tyle, o ile nie pojawi się ryzykant, który zechce jej skuteczność wystawić na próbę za pomocą siły.

Rzecz jasna w nowej Europie, w której na Bugu zapadłaby żelazna kurtyna, nikt i tak nie miałby żadnego lepszego rozwiązania, niżli szukanie ochrony w zamkniętym i politycznie osłabionym natowskim klubie. Zapewne w pośpiechu zapisałyby się doń Szwecja i Finlandia, bo też co innego miałyby począć w swej nowej sytuacji. Przy upadku wiary w polityczny prymat Ameryki, jedynym bezpieczeństwem byłyby zbrojenia i nawrót do militaryzacji Europy. Zmasowane dyslokacje wojsk mają bowiem to do siebie, że mogą być choćby częściowym remedium na utracone polityczne zaufanie. W tym sensie decyzja kanclerza Scholza o stu miliardach euro na Bundeswehrę okazałaby się nie incydentem, ale prologiem nowej epoki. Na polityczny margines musiałaby zejść szybko i nieuchronnie Unia Europejska – wybitna specjalistka od nikomu już nieprzydatnej „soft power”. Zaś Waszyngton nie miałby z czasem innego wyjścia, niżli oswoić się z przykrą dla siebie konstatacją, że podejmowane przezeń polityczne zobowiązania nie

budzą już niczyjej ufności, więc jedyną monetą, jaką może płacić swym sojusznikom są czołgi, samoloty, lotniskowce, no i fizyczna obecność setek tysięcy chłopaków z US Army. Tym samym rychło ległoby w gruzach wielkie marzenie amerykańskiej polityki, iżby zabezpieczyć się przed konfliktem na dwóch frontach: atlantyckim i pacyficznym. Prawdę mówiąc, nie wiem czy i jak politycznie osłabione amerykańskie mocarstwo potrafiłoby sprostać takim okolicznościom. Brak mi tu wyobraźni.

Tylko o jednym pamiętaj, proszę, Czytelniku. Tak właśnie będzie wyglądać przyszłość, o ile Ukraina upadnie i rozsnuje się nad nią pomroka moskiewskiego terroru. Dziś jeszcze wolny świat ma narzędzia, aby uratować wolność Ukrainy i tym samym zapobiec takiej politycznej przyszłości Europy.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego